

KULTURA

Newsweek

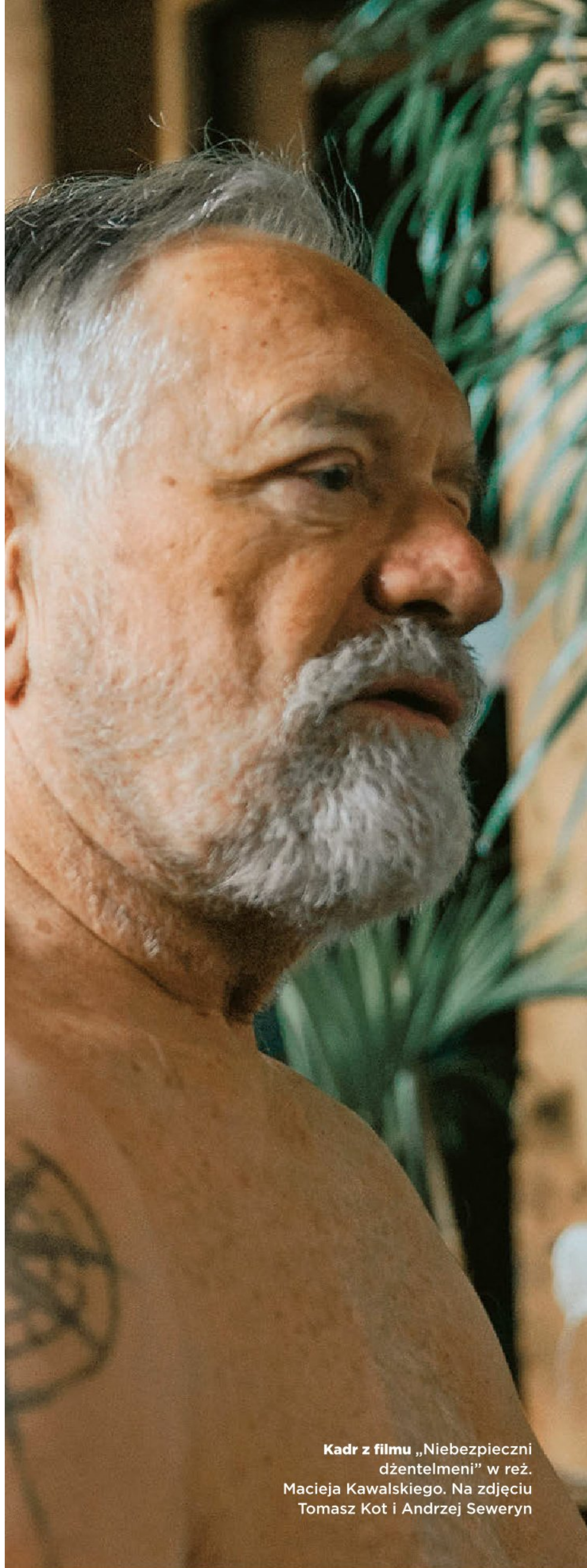
ROZMOWA Z TOMASZEM KOTEM

WOŁĘ GRAĆ NIZ CZEKAĆ

Próbowałem, ale miałem dużego pecha – mówi **TOMASZ KOT** o przerwanej karierze za granicą. Opowiada o seminarium duchownym, Rosjanach w Legnicy i cieniu polityków

ROZMAWIA JACEK TOMCZUK

FOT. MATERIAŁY PRASOWE KINO ŚWIAT



Kadr z filmu „Niebezpieczni dżentelmeni” w reż. Macieja Kawalskiego. Na zdjęciu Tomasz Kot i Andrzej Seweryn

NEWSWEEK: W „Niebezpiecznych dżentelmenach” pan, były ministrant, gra ikonę antyklerykalizmu – Tadeusza Boya-Żeleńskiego. Jak to się stało?

TOMASZ KOT: Spotkanie z biografią i publicystyką Boya-Żeleńskiego było niezwykłą przygodą. Przeczytałem książkę Józefa Hena „Błazen – wielki mąż” i zafascynowałem się swoim bohaterem, który nosił w sobie tyle sprzeczności: autor tekstów do kabaretu Zielony Balonik, a jednocześnie facet przepełniony melancholią, która zabierała mu radość życia; lekarz, a po godzinach tłumacz literatury francuskiej; bywalec mieszczańskich salonów i zaciekle przeciwnik Kościoła. Głosił bardzo niepopularne poglądy, o sobie mówił, że jest jak kurwa czekająca w kolejce do lekarza, na ulicy chętnie się ją klepnie w tyłek, a w kolejce ciężko się przywitać.

A co z tym seminarium?

– Moi rodzice dużo pracowali, mama jako urzędniczka, tata jako wuefista. Z rodzeństwem po szkole często szliśmy do Młodzieżowego Domu Kultury w Legnicy, w której mieszkaliśmy. Instruktorza wyczaiła, że mam dryg do rysowania. Marzyłem, żeby uczyć się w liceum plastycznym. Szykowałem się, kompletowałem teczkę, ale w ostatniej chwili rodzice się wycofali, bo najbliższe liceum było we Wrocławiu albo w Cieplicach. Bali się wypuścić mnie z Legnicy. A ja już tak się nakręciłem, że opuszczam dom, że nie dałem za wygraną.

I?

– Drugą silną linią mego dzieciństwa był Kościół. Byłem ministrantem, przyjacielem ojca był franciszkanin i misjonarz, którego brutalnie zabito w Peru. Zdecydowałem się iść do niższego seminarium duchownego przy zakonie franciszkanów, z internatem przy klasztorze w Legnicy.

W seminarium panował straszny rygor, rano pobudka, gimnastyka, potem msza i szkoła. Do domu mogłem pójść raz w tygodniu. Można było zostać wyrzuconym za absolutne drobiazgi. I wyrzucano masowo. Pamiętam, że po czterech miesiącach odchodziłem jako 16., ale drugi z własnej woli. Z mojego roku święcenia kapłańskie odebrało może dwóch chłopaków.

Jakie są dziś pana relacje z Kościołem?

– Od 16 lat, odkąd urodziła się moja córka, nie mam żadnych związków z tą instytucją.

Dlaczego?

– To kwestia głębokiego rozrachunku z moją wiarą. Kiedy miałem zostać ojcem, rozmyślałem, że chcę być na tyle ogarnięty, żeby móc odpowiadać na trudne pytania, jakie niedługo usłyszę. Że może warto przeczytać Dawkinsa czy Hitchensa, żeby zrozumieć ateistów. Albo zobaczyć, co jest ciekawego w innych religiach.

Nie chciał pan lecieć na autopilocie polskokatolickim?

– Katolicyzm mnie nie uwierał, po prostu chciałem zobaczyć, co jest po drugiej stronie, mieć swoje zdanie i żyć bardziej świadomie.

Dzisiaj mnóstwo ludzi odchodzi od Kościoła. Pan to rozumie?

– Tak, jeżeli ktoś potrzebuje dokonać apostazji, ja to rozumiem, ale sam nie mam takiej potrzeby. 25 lat temu w Krakowie większość moich koleżanek i kolegów ze studiów wierzyła papierowo, zresztą tak samo. Pamiętam, że któregoś roku w mieście było zagrożenie

nie powodziowe i mówiło się, że kardynał Dziwisz pójdzie na wały z ampułką krwi św. Jana Pawła II, chyba żeby odgonić wodę. Nie wierzyłem, że to się dzieje naprawdę. Jeśli przyjąć, że cała Polska jedzie w pociągu, to wydaje się, że polski kler wysiadł z tego pociągu ze dwie dekady temu i nie zauważył, że on już dawno odjechał.

Jakim miejscem była Legnica w latach 80.?

– Bardzo specyficznym, ale wtedy o tym nie wiedziałem, myślałem, że tak jest wszędzie. Legnica była naprawdę małą Moskwą, wojsko rosyjskie na ulicy było normą. Mieszkalem obok zakładu remontowego wozów bojowych, więc idąc do szkoły, mijałem opancerzone pojazdy i myślałem, że to normalne. Baliśmy się Rosjan, wiedzieliśmy, że nie można z nimi zadzierać. Oczywiście Polacy wykorzystywali to sąsiedztwo. Cała dzielnica chodziła kupować paliwo na lewo do zakładów, w których pracowali Rosjanie. Miasto było podzielone na „kwadraty”, zamknięte dzielnice dla Rosjan otoczone szarym murem z wielkimi gwiazdami. Polacy nie mogli tam wchodzić, a kusiły ich sklepy.

W których było więcej towaru niż w polskich...

– Oczywiście, więc niektórzy rodzice wysyłali dzieci, żeby przedostawały się jakimiś dziurami i kupowały masło, olej, przybory szkolne i różne inne bajery.

Bał się pan?

– Tak, złapany dorosły Polak mógł być oskarżony o szpiegostwo, dzieciaki dostawały kopa w dupę. Raz mnie złapała żandarmeria. Rosjanin ścisnął mnie mocno za szyję, zaprowadził pod mur, zażądał wszystkich pieniędzy, a potem przerzucił na drugą stronę.

Kraków, gdzie pan trafił na studia, był innym światem.

– Powoli. Nie zdałem matury, ścigało mnie wojsko, ale na szczęście dyrektor legnickiego teatru zatrudnił mnie na etat, co było dla mnie gigantycznym wydarzeniem. Zacząłem grać. Mając 19 lat, zobaczyłem, na czym polega ten zawód, co się dzieje z ludźmi, którzy przychodzą po szkole teatralnej pełni pasji i marzeń, myślą, że będą grać główne role, a czekają na nich halabardy. Na studiach koledzy myśleli, że ich zawodowe życie będzie wyglądało jak bajka, a ja już wiedziałem, że może być różnie.

Koledzy mówią, że nie był pan pilnym studentem. Zdarzyło się nawet nie przyjść na egzamin do Jerzego Stuhra.

– To był specjalny pokaz naszych scen dla Andrzeja Wajdy. Nie zadzwonił budzik, przybiegłem w absolutnym chaosie. Ale z panem Andrzejem miałem potem jeszcze kontakt.

Nie obraził się?

– Na czwartym roku dostałem propozycję zagrania Hamleta w legnickim teatrze, co było marzeniem każdego młodego aktora i przy okazji zaliczeniem dyplomu. Czyż można pięknie sobie wyobrazić wejście w ten zawód? I wtedy ogłoszono, że w tym samym czasie pan Andrzej zaczyna pracę z moim rokiem. Byłem w kropce.

I co pan zrobił?

– Poszedłem do pana Andrzeja i mówię, że nie mogę z nim pracować, bo Hamlet, podpisana umowa. On mi pozwolił przyjść jeszcze parę razy na próby do siebie, a ja go zaprosiłem na spektakl. Zasadniczo aura w szkole była taka, że jestem idiotą, skoro wybieram Legnicę zamiast Wajdy. Ale kiedy rok później graliśmy „Hamleta” w Warszawie, napisałem list do niego: „to ja, student z Krakowa, zapraszam”. I pan Andrzej przyszedł.

Spektakl i pana rola okazały się sukcesem, to po nich dostał pan propozycję zagrania Ryszarda Riedla w „Skazanym na bluesa”. Podobno tak się pan utożsamiał z rolą, że jeszcze przez wiele miesięcy był pan barową cma na Kazimierzu.

– To legenda. Nie rozumiem aktorów, którzy mają taki problem i zostają w swoich rolach. Mój był zupełnie inny. Byłem debiutantem. To niewiarygodne uczucie, kiedy grasz główną rolę i ciągle cię ludzie na planie pytają, czy dobrze się czujesz, co chcesz zjeść, może odpocząć: kawa, herbata, a może kurtkę ci założyć... Jeszcze nie wiesz, że to nie znaczy, że tak cię lubią i cenią, oczywiście jest to możliwe, ale generalny powód jest taki, że jak będziesz miał katar albo zachorujesz na planie, wszyscy będą mieli więcej pracy, a być może zdjęcia się zatrzymają. Kiedy to wszystko się kończy, następuje pustka. Nie wiedziałem wtedy, jak to ogarnąć. Do tego jeszcze miałem długie włosy. Kiedy pojawiałem się w księgarni, wyglądając jak Ryszard Riedel, natychmiast zjawiał się za mną ochroniarz. Kilka tygodni później z krótkimi włosami nie wzbudzałem już niczyich podejrzeń.

Rzucił pan Teatr Bagatela w Krakowie, gdzie miał pan etat, i przeprowadził się do Warszawy. Przyszły filmy: „Niania”, „Testosteron”, „To nie tak, jak myślisz, kotku”, „Idealny facet dla mojej dziewczyny”... Zaczął pan się rozmieniać na drobne?

– Kocham grać, a takie dostawałem role. Skąd miałem wiedzieć, jak się zabiega o inne? Grałem, co było, porządnie wykonywałem swoją pracę i dobrze się bawiłem. Z czasem rzeczywiście miałem przesyt filmów komediowych, ale nie wiedziałem, jak się wychodzi z takich ról. Aż w 2010 r. przyszła od Marka Lechkiego propozycja zagrania w „Erratum”, zresztą równoległe z „Ciachem” Patryka Vegi.

Czułem, że „Erratum” to dla mnie szansa, ale pojawił się problem. Pytam Marka, co mam robić przed kamerą, a on: nic. Po prostu idź. Jak to? Dotychczas w filmach miałem wrażenie, że musiałem strzelać minami, grepsami, a teraz słyszę: nie gimnastykuj twarzy, siedź i myśl. Nie byłem do takich rzeczy przyzwyczajony. I wtedy po raz pierwszy poczułem, że ktoś jest ciekaw mnie, a nie moich min.

Spodobało się panu?

– Tak. Zacząłem się zastanawiać, jak trafić do takich produkcji i nie wrócić na stare tory. Akurat wtedy kolega z teatru w Kaliszu poprosił, żeby coś u niego zrobić. Uznałem, że to dobry pomysł i przeprowadziłem się do Kalisza.

Co na to pana koledzy z Warszawy?

– Pukali się w głowę, że zwariowałem. Dla nich byłoby mniej dziwne, gdybym powiedział, że muszę się wyciszyć, i wyjechał do Indii. Ale do Kalisza? Wtedy zaciągnąłem ręczny hamulec w filmie, grałem w teatrze i zastanawiałem się, co dalej. Pewne rzeczy nie są do wymyślenia w weekend. To był rodzaj czyścica. Zrobiłem rozrachunek ze sobą i po pół roku wróciłem do Warszawy, wiedząc już dokładnie, czego chcę.

Co jest najważniejsze w pana życiu?

– Kiedy nie miałem dzieci, najważniejsza była praca, która wyrwała mnie z Legnicy. Teraz to rodzina. Priorytety mam sztywno ustawione.

Jak pan godzi pracę z rodziną?

– Wiem, że jak robię film, to znikam z domu na kilka tygodni, ale wracam i jestem cały dla niej. Od jakiegoś czasu nie mogę doczekać się powrotu z planu do domu. Pamiętam, że jak zbliżał się koniec zdjęć do „Bogów”, to poprosiłem żonę o listę rzeczy do zrobienia. Prosiłem wręcz, żeby czegoś nie sprzątała, nie zamywała ekipy, żeby więcej zostało dla mnie: ogród sam sprzątnę, położę listwy podłogowe, dzieci odwiozę do szkoły... Mam potrzebę zanurzenia się w jakiejś brudnej robocie, posprzątania, dopiero tak się uspokajam. Ważne, żeby po zdjęciach nie było zbyt relaksująco. Lubię trzasnąć drzwiami: koniec z rolą.

Zapomnieć?

– Nie, bo wydarzyły się fajne rzeczy na planie, ale nie warto już się nimi delectować. Jedyne zamieszanie, jakie miałem na przestrzeni 10 lat z rodziną, to było po „Zimnej wojnie”: Cannes i próby wejścia na zachodni rynek.

No właśnie, co z pana karierą zagraniczną?

– Bardzo trzymam kciuki za Marcina Dorocińskiego i Piotra Adamczyka. Super, że im idzie. Ja po filmie Pawła Pawlikowskie-



ZALICZYŁEM

**WSZYSTKIE ODSŁONY TEGO
ZAWODU: BYCIE W MAŁYM
MIEŚCIE, GŁÓWNE ROLE
W TEATRZE, W KOMEDIACH,
FILMACH BEZNADZIEJNYCH
I NOMINOWANYM DO OSCARA**

go dostałem jasny komunikat: mogę próbować. Wtedy powstała gigantyczna presja i zamieszanie. Siedziałem z rodziną w Los Angeles cztery miesiące, uczestnicząc z spotkaniach, rozmowach, pokazach. I nagle poczułem moment spiny: czekanie na telefon, poczucie, że trzeba go odebrać, bo ten ktoś nie ma czasu zadzwonić jeszcze raz. Próbowałem, ale miałem dużego pecha.

Mówi pan o filmie o Tesli?

– Dwa razy byłem w obsadzie bardzo dużych produkcji. Jedną z nich był film o genialnym wynalazcy Nikoli Tesli. Anand Tucker zobaczył go we mnie. Mówił: twój angielski jest na idealnym poziomie, nie ucz się lepiej, Tesla był Serbem, przyjechał do Ameryki i ludzie mieli kłopoty, żeby go zrozumieć. Bali się go i nie znali tak jak ciebie, jesteś jakimś groźnym facetem z czarno-białego filmu z Europy Wschodniej.

Produkcja była na tyle zaawansowana, że musiałem podpisać umowę, iż nie będę przyjmował żadnych propozycji przez ponad pół roku. Musiałem być do dyspozycji reżysera. Przez kilka miesięcy spacerowałem po parku Bródnowskim i ćwiczyłem

chód Tesli. Zmieniła mi się cała sylwetka, ruchy. Poczułem życiową szansę, wiedziałem, że mogę odtworzyć przemianę, jakiej dokonałem w „Bogach”, w Zbigniewa Religę, tym razem na skalę światową – w Nikolę Teslę. Wiedziałem, że dam radę. Dzwoni producentka i pyta, czy wolę w Nowym Jorku mieszkać w wynajętym mieszkaniu, czy w hotelu. I nagle mail od agenta: „Tesla” przesunięty na przyszły rok. A w następnym wybuchła pandemia, kolejne przesunięcia terminów, jakieś nowe propozycje, których nie można dogadać, bo nie ma jak się spotkać. Nie miałem już siły...

Zeszło z pana powietrze?

– To nie jest tak, że ja za wszelką cenę musiałem coś zrobić. Zastniała możliwość, więc próbowałem wykorzystać szansę. Rok temu, kiedy pojawiłem się na festiwalu w Gdyni, ludzie podchodzili i pytali: „ty tu jesteś? Nie mieszkasz w Stanach?”. Do tego zobaczyłem kilka filmów, do których miałem zaproszenia, ale odmówiłem, bo szykowałem się do „Tesli”. I uświadomiłem sobie: kurde, nie gram ani tu, ani tam. Pomyślałem, że nie chciałbym, żeby umknęła mi taka rola jak w „Bogach” czy „Zimnej wojnie”. Smutne byłoby, gdyby mi ktoś powiedział: „jesteś wymarzonym Kleksem”, a ja odmawiam, bo czekam na jakiś epizod z amerykańskiej produkcji. Wszystko, co mnie wyniosło na Zachód, powstało tutaj.

Zrobił pan rachunek zysków i strat tego czekania na rolę na Zachodzie?

– Mamy już kolejne Cannes, kolejnych aktorów w świetnych filmach. Oni też czekają na te role. Po prostu robię swoje, wolę grać niż czekać. Mam to szczęście, że zaliczyłem wszystkie odsłony tego zawodu: bycie w małym mieście na etacie, wiązanie końca z końcem, szukanie chałtur, żeby mieć za co żyć, a potem grałem główne role w teatrze, więc nie miałem czasu na chałtury. Ale dalej kasy nie wystarczało do pierwszego. Potem grałem w serialach, komediach, filmach beznadziejnych i nominowanym do Oscara... Jest o czym myśleć. A role też dają do tego dużo okazji. Analizowanie tekstów Boya-Żeleńskiego i przygotowywanie się do „Niebezpiecznych dżentelmenów” było zajebistą przygodą.

Przydałby się dzisiaj Boy-Żeleński?

– Nie miałby łatwego życia, bo on był bezlitosny dla obu stron: konserwatywnej i nowoczesnej. Dzisiaj też by nie oszczędzał zarówno rządzących i Kościoła, jak i tych, którzy trwonią potencjał Strajku Kobiet. Bo dzisiaj jest mnóstwo takiej intelektualnej i programowej cienizny. Jak można było lansować jako obrońcę demokracji człowieka, który nie płacił alimentów? Jak opozycja może mówić, że chce wygrać wybory, nie prezentując wyborcom programu, wizji? Tłumaczy się, że pokaże program po wyborach, żeby jej PiS nie podkradło. To nie jest poważne. Opozycja czasem zachowuje się tak, jakby nie chciała przejąć władzy. I Boy by jej to wytknął. **N**

jacek.tomczuk@newsweek.pl

TOMASZ KOT (ROZNIK 1977). GRAŁ M.IN. W FILMACH: „SKAZANY NA BLUESA”, „ERRATUM”, „HANS KLOSS. STAWKA WIĘKSZA NIŻ ŚMIERĆ”, „BOGOWIE”, „ZIMNA WOJNA”. OD 20 STYCZNIA W KINACH „NIEBEZPIECZNI DŻENTELMENI” W REŻ. MACIEJA KAWALSKIEGO. ZAGRAŁ TEŻ ROLĘ AMBROŻEGO KLEKSA, PREMIERA FILMU ZA ROK